

***O wojennej tułaczce i życiu na uchodźstwie –  
wspomnienia z Pani Lucyny Smidt z Lancaster***

**Pani Lucyna Smidt (Minkiewicz) urodziła się w Polsce, w wieku 6 lat opuściła kraj i już nigdy nie wróciła**

**do rodzinnej miejscowości. Kiedy miała 13 lat dotarła do Anglii - po długiej podróży przez Rosję, Uzbekistan, Teheran i Indie...**

Oto jej wspomnienia:

- Mieszkaliśmy w miejscowości Bujniewicze w okolicach Baranowicz. Mój dziadek pochodził z Lublina, po I wojnie światowej dostał ziemię, przeprowadził się do Bujniewicz i został rolnikiem. Kiedy były żniwa chodziłam z mamą w pole, uprawialiśmy ziemię i z tego się utrzymywaliśmy.

**- Czy pamięta pani dzień kiedy musieliście opuścić Polskę?**

- Tak, 10 lutego 1940 roku rankiem przyszło do nas dwóch rosyjskich żołnierzy. Powiedzieli, że musimy się spakować. Babcia i mama zaczęły przygotowywać wszystko, co było potrzebne do podróży. Dziadek zapakował niezbędne rzeczy do walizki i poszedł do lasu, chciał uciekać, ale rozmyślił się i wrócił z powrotem. Postanowił, że nie zostawi babci oraz mojej mamy z dwójką dzieci. Tato w tym czasie przebywał we Lwowie, pojechał do swojego wujka. Często tam podróżował, zawoził rodzinie jajka, sery i inne produkty z gospodarstwa. W ten sposób wspierał krewnych mieszkających w mieście. Jako, że w Polsce mieszkaliśmy w jednym domu z dziadkami, razem zabrano nas na Syberię. W wielu rodzinach losy potoczyły się inaczej. Starsze pokolenie, które nie mieszkało razem z młodszym zostało w Polsce, a ich dzieci i wnuki byli wywiezieni w głąb Rosji.

**- Ile czasu mieliście na spakowanie się?**

- Parę godzin, ale wtedy w domach nie było tak dużo rzeczy jak teraz. Najważniejsze było, żeby zabrać dokumenty i ubrania, obecnie swoich rzeczy nie zabrałabym w parę godzin czy nawet w pół dnia, nie zdążyłabym zapakować (śmiech). Tego dnia był wielki mróz i dużo śniegu. Saniami jechaliśmy do pociągu. Nie pamiętam do jakiej miejscowości, miałam wtedy sześć lat...

**- Jak wyglądała podróż?**

- Pociągi były towarowe, bez siedzeń. Jechaliśmy... przeczytałam wiersz o naszej i innych Polaków podróży:

Ojczyzno nasza, ziemio ukochana

W 39- tym całą krwią zalana.

Nie dość, że Polskę na wpół rozerwali

Jeszcze nas biednych na Sybir wygnali

Dziesiąty lutego będziem pamiętali  
Gdy przyszli Sowieci, myśmy jeszcze spali.  
I nasze dzieci na sanie złożyli  
Do głównych stacji nas podwozili.  
O żegnaj Polsko, żegnaj chato miła,  
O żegnaj ziemio, któraś nas karmiła.  
Żegnajcie lasy i słońce przeczyste  
My wyjeżdżamy ze ziemi ojczystej.

Dni cztery polską ziemią my jechali  
Choć my ją tylko przez szpary żegnali.  
W piaty dzień maszyna sowiecka ryknęła  
Jakby sztyletem każdego przeszyła.

Mijają doby, tygodnie mijają  
Raz na dzień chleba i wody nam dają .  
Mijamy Rosję i góry Uralu  
I tak jedziemy wciąż dalej i dalej.

Czwartego marca stanęła maszyna  
Już inny transport z nami się zaczyna.  
Jedziemy autem, a potem saniami  
Przez śnieżne tajgi lasami, rzekami.

O smutna była nasza karawana  
Kipitku z chlebem dawali co rana.

Dzieci zmarznięte z sani wypadają

A na noclegi umarli zostają.

O Polsko nasza, ziemio Polsko święta,

Gdzie są twoje dzieci, gdzie są twe orlęta.

Dzisiaj w sybirskie tajgi przyjechali.

Czy Ciebie będą kiedy oglądali?

Zima, mróz wielki, w lesie ciężka praca.

Głód i tęsknota straszna nas przygniata

Tyfus okrutny wśród ludzi się szerzy

Coraz to więcej na cmentarzu leży.

Już przyszła wiosna, słońce zajaśniało

Gdy do baraku rano zaglądało.

Dwie białe skrzynki sosnami ubrane -

Nad nimi matki klęczą zapłakane.

Dwie białe skrzynki sosnami ubrane-

Nad nimi dzieci klęczą zapłakane.

I znów wiosna, słońce zaświeciło.

Lecz ono wcale nas nie weseliło.

Tylko po lesie słychać głos płaczący,

O Jezu Chryste w Ogrójcu mdlejący.

Królowo Polska zlituj się nad nami,

Nad polskimi dziećmi i nad Polakami.

Powróć nas, powróć do ziemi ojczystej

Królowej naszej Panienci przeczystej.

*(Piosenka „Sybiraków”- ułożyła zakonnica Weronika - 1941)*

*Spisała Barbara Pietrzak bezpośrednio z przekazu ustnego uczestniczki wydarzeń p. Barbary Krzyżanowskiej, obecnie przebywającej na stałe w Kanadzie.*

*Na przełomie września – października 2000 r. przebywała w odwiedzinach rodziny i znajomych w Warszawie.*

Znałam Baśkę Krzyżanowską była naszą drużynową w Valivade w Indiach.

**- Czy rzeczywiście podróż wyglądała tak jak w wierszu jest opisane?**

- Tak, tak właśnie wyglądała. Ja pamiętam tylko urywki, wieźli nas pociągiem, śniegi duże, lasy, nagle pociąg zatrzymał się, patrzymy, a tu koniec trakcji, nie można dalej jechać, trzeba wracać z powrotem, zawróciliśmy na inne tory i jechaliśmy dalej. Przyjechaliśmy do Rosji.

**- Gdzie zamieszkaliście?**

- W jednym z baraków, zbudowanym z drewna, ocieplonych mchem. Później wybudowano nam inne baraki, jakby duże szałas. Każda rodzina otrzymywała jeden pokój. Zamieszkaliśmy w nim: dziadzio, babcia, moja mama, ja i brat. Po jakimś czasie dołączył do nas tato, udało mu się odnaleźć rodzinę. Pomogła mu w tym biegła znajomość języka rosyjskiego. Jako chłopiec uczęszczał do szkoły w zaborze rosyjskim. Po kilku miesiącach pobytu na Syberii, a dokładnie w czerwcu urodziła się moja siostra Marysia. Pamiętam, że w pokoju wisiała przywiązana sznurkami kołyska, w której spała. Mieszkaliśmy tam dwa lata, mieliśmy wyżywienie, była stołówka.

**- Jak wyglądała syberyjska codzienność?**

- Tato pracował w magazynie. Dziadek, tak jak ojciec, dobrze znał język rosyjski. Na Syberii zajmował się obróbką drewna. Mama również pracowała, nie pamiętam gdzie, z nami w domu była babcia. Przywiezione z Polski dzieci chodziły w Rosji do szkoły, choć ja pamiętam w szkole tylko jeden dzień z tamtego okresu. Nauczycielka mówiła, że Stalin rzucał cukierki i wtedy je otrzymaliśmy.

**- Jak potoczyły się koleje Waszych losów na Syberii?**

- Generał Anders zaczął tworzyć oddziały wojskowe. Tato i dziadek przyłączyli się do armii. Pamiętam dzień rozstania. W naszym domu rosyjskim, wysoko na półce, mama przechowywała ususzony chleb. Tato podszedł, wziął do kieszeni garść sucharów na podróż i wyjechał... My przez jakiś czas jeszcze zostaliśmy na Syberii. Następnie miała miejsce podróż do Uzbekistanu. Tam była wielka bieda. Otrzymaliśmy do zamieszkania okrągłe małe domki, zwane kibitkami. Warunki życia były dużo gorsze niż w Rosji.

**- Co pani pamięta z czasu w Uzbekistanie?**

- Mama chodziła gdzieś do pracy. Czasem udało jej się przynieść trochę patyków, żeby rozpalić węgiel, w piecu, który znajdował się w ziemi na środku domu. Każdy z nas siadał blisko pieca, nogi opuszczał w dół i tak się ogrzewał. Nie byliśmy tam długo, jakieś sześć miesięcy. Nie było co jeść... Pamiętam jak na pobliskim polu pasły się owce. Jedna z nich nagle się przewróciła, okazało się, że zdechła. Uzbeki chcieli zakopać padlinę. Zobaczyła to moja babcia, poszła do nich i poprosiła, dajcie mi tę owcę. Wyczyściła mięso, ugotowała, usmażyła i zjedliśmy. To co zostało zawinęła w czystą szmatkę i schowała do ziemi, aby przechować na następne dni, żeby jeszcze było coś do zjedzenia. Babcia często mówiła do mamy: "Weźmy wózek z osiołkiem, rzeczy, które mamy i pojedźmy do Krasnowodzka". Tak też zrobiliśmy.

**- Czy Wasza sytuacja się przez to polepszyła?**

- Tak. W Krasnowodzkę było zdecydowanie lepiej. Tam stacjonowało Wojsko Polskie. Mama otrzymała pracę w pralni. Mieszkaliśmy w dużych halach. W okolicy było wielu Polaków. Czekaliśmy na dalszy transport. Mama za namową babci oddała brata do sierocińca. Obie wiedziały, że dzieci stamtąd wprawdzie będą transportowane za granicę.

**- Gdzie i jak byliście transportowani?**

- Pamiętam, że statkiem płynęliśmy cztery dni do Pahlavi. Ja z mamą i babcią - jak wspominałam w tym czasie nie było z nami brata. Na nowej ziemi, do której dotarliśmy, zmarła moja młodsza siostra Marysia. Wcześniej zachorowała, mama zabrała ją do szpitala, ale niestety nie udało się uratować dziecka. Była za mała by znieść warunki podróży.

**- Jaki był następny cel podróży?**

- Z Pahlavi przedostawaliśmy się do Teheranu, tam był III obóz, a było ich kilka więcej w okolicach. Zaraz po dotarciu do tego miejsca, mama udała się do obozu, w którym był sierociniec polskich dzieci i wróciła do mnie i do babci z bratem Stefanem. Byliśmy tam około roku, mieszkaliśmy w namiotach. Chodziłam do szkoły. Była kaplica, pamiętam, że to w Teheranie nauczyłam się śpiewać pieśń: „Wszystkie nasze codzienne sprawy”. Do dziś, kiedy w kościele jest śpiewana ta pieśń przypomina mi się wojskowy kościół. Po Mszy ksiądz zabierał sprzęty liturgiczne z polowej kaplicy tam były zajęcia szkolne. Pamiętam, że siedziałam w ławce pod drzewem granatu i uczyłam się pisać. Następnie wybudowano baraki, szkoła została przeniesiona do nich, warunki były lepsze, mieliśmy ławki i krzesła. Kiedy byliśmy w Teheranie, tato i dziadek stacjonowali z innymi żołnierzami w Iranie. Poprzez góry przyjeżdżali do nas w odwiedziny.



Stanisław Minkiewicz, ojciec Lucyny podczas II wojny światowej



Lucyna z bratem Stefanem w Teheranie, 1943 rok

**- Jaka miejscowość stała się kolejnym miejscem pobytu?**

- Następnie przewieziono nas do Ahwazu, gdzie stacjonowały wojska: Irańskie, Angielskie i Amerykańskie. Niektóre z Polek jeździły do pracy w kuchniach wojskowych i kasynach wojska amerykańskiego. Mama także podjęła pracę w kuchni. Była tam również zorganizowana szkoła i uczyliśmy się. Naszym mieszkaniem stały się dawne stajnie. Poprzegradzano deskami prycze i spaliśmy na nich, nie na podłodze. W ścianach stajennych były kiedyś żłoby dla zwierząt. W nich ludzie ułożyli swoje walizki i torby podróżne. Nie byliśmy tam długo.

**- Gdzie przenieśliście się?**

- Wywieziono nas do Karaczi (obecnie Pakistan), wtedy Indie. Też nie byliśmy tam długo. Około pół roku i pamiętam, że również w tym miejscu chodziłam do szkoły. Również w Karaczi mieszkaliśmy w namiotach, początkowo kilka nocy spaliśmy na ziemi, a następnie z desek zostały wybudowane podwyższenia – prycze, mieliśmy łóżka. Do każdego namiotu przydzielono kilka rodzin. W tym miejscu także chodziłam do szkoły, na ile dobrze pamiętam, do drugiej klasy. Mama pracowała w kuchni, mieliśmy jedzenie, nie było już głodu. Jak wspominałam, pod względem jedzenia najgorzej było w Uzbekistanie. Obóz w Karaczi należał do Anglików. Po jakimś czasie wojska angielskie organizowały transport do Afryki.



Pierwsza komunia Stefana, brata Lucyny Minkiewicz, Karaczi

**- Czy skorzystaliście z tej możliwości?**

- Babcia powiedziała: „Nie, nie pojedziemy do Afryki, jeśli będzie możliwość przedostania się do Indii, tam się udamy, bo tam jest moja znajoma”. To zdecydowało, że pojechaliśmy pociągiem do Valivade w Indiach. Dotarliśmy tam późniejszym transportem. Zakwaterowano nas w blokach. Uczęszczałam do szkoły, nauczyliśmy się języka polskiego, matematyki, historii, geografii oraz robótek ręcznych. Tam



nauczyłam się szydełkowania i wyszywania. Ukończyłam trzecią, czwartą, piątą oraz szóstą klasę . Organizacja życia obozowego była bardzo dobra. Prężnie działało harcerstwo, sodalicja oraz chóry. Opiekę duszpasterską sprawowało kilku polskich księży. Wszystkich pamiętam: ks. Dalingier, ks. Przybysz i ks. Kozłowski. Do pracy w obozie wojskowym, którym administrowali Anglicy przychodzili Hindusi.

**- Czy mieliście możliwość przemieszczania się poza miejsce zamieszkania?**

- Można było swobodnie poruszać się po okolicach, była większa swoboda. Połączenie kolejowe ułatwiało przemieszczanie się po okolicach. Ja kilka razy jeździłam z mamą pociągiem do Kolhapur. W Indiach spędziłam prawie cztery lata. Indie nie miały tyle obozów co Afryka. W sumie było nas około pięciu tysięcy.

**- Kiedy opuściliście Indie ?**

- 4 września 1947 roku. Płynęliśmy do Wielkiej Brytanii szkockim statkiem z Glasgow „Empire Brent”. Był on wysłany specjalnie do przetransportowania Polaków z Indyjskiego obozu. Babcia została w Indiach i do Anglii dotarła drugim transportem. Podczas trzytygodniowej podróży młodzi chłopcy byli na statku osobno w gronie męskim, oddzielnie kobiety, w innych pomieszczeniach. Mama bardzo martwiła się o brata. Często chodziła sprawdzać czy wszystko u niego jest w porządku. Początkowo podróż przez Ocean Indyjski była bardzo trudna. Wiele osób zachorowało na morską chorobę i nie mogło jeść. W związku z tym w barze bardzo mało osób pojawiała się na śniadaniu. Niektórzy Polacy znali dobrze język angielski i bez trudności komunikowali się z załogą statku. Po drodze zatrzymywaliśmy się w kilku portach. Najbardziej pamiętam przerwę w rejsie w okolicach Kanału Sueskiego. Kiedy statek się zatrzymał, Arabowie reklamowali dywany i inne egzotyczne wyroby.

**- Czy mieliście wybór, żeby udać się po wojnie do innego kraju niż Wielka Brytania?**

- Tak. Można było skorzystać z innych rozwiązań. Pierwszy transport z Valivade odbył się do Polski. My nie mieliśmy gdzie wracać, dom na pewno został już zajęty przez innych ludzi, granice kraju zmienione. Mój tato w 1946 roku dotarł do Anglii wraz z innymi żołnierzami walczącymi pod Monte Cassino. Cały czas pozostawaliśmy z ojcem w kontakcie. We Włoszech zmarł dziadek, chorował na raka. Tato pochował go. Nigdy nie dowiedzieliśmy się gdzie dokładnie znajduje się grób dziadka, choć z informacji wynika, że wszystkie groby polskich żołnierzy walczących w tamtym rejonie, zostały przeniesione na polski cmentarz wojenny znajdujący się na wzgórzu Monte Cassino.

**- Jakie były losy taty w Anglii?**

- Ojciec dotarł do miasta Clitheroe. Kiedy ja z mamą i bratem przyплыliśmy do portu w Southampton 27 września 1947 roku, przewieziono nas pociągiem do polskiego obozu przesiedleńczego w hrabstwie Essex. Czekaliśmy tam na przyjazd ojca. Gdy tato dostał urlop, przyjechał po nas, spakowaliśmy się i po kilku dniach wyruszyliśmy w nowe miejsce. Pamiętam, podróż z tatą odbywała się przez Londyn. Po raz pierwszy wtedy musiałam skorzystać z ruchomych schodów, a nie wiedziałam jak. Tato wszedł na nie i nic mi nie tłumaczył (śmiech). Odważyłam się i weszłam, udało się (śmiech). Z Londynu jechaliśmy pociągiem do Manchester.

**- Czy też zatrzymaliście się w mieście Clitheroe?**

- Nie. W tym czasie tato mieszkał w pobliżu miasta Ashton-under-Lyne, gdzie stacjonowało wojsko polskie. Pozostaliśmy w tym miejscu, ale nie na długo. Był to stosunkowo mały obóz, czternaście baraków. Nie było polskiego kościoła. Angielski sierżant zaproponował mi, bratu oraz dzieciom dwóch małżeństw polskich, żeby zapisać nas do szkoły. On to dopełnił wszystkich formalności i w taki sposób na pół roku trafiłam do szkoły angielskiej. W klasie byłam jedyną Polką. Okres szkolny był czasem intensywnego kursu językowego dla mnie. Miałam wiele koleżanek, które zabierały mnie w różne miejsca, często do Manchester. Po około pół roku obóz, w którym żyliśmy, przeznaczono do likwidacji. Tato jeszcze jakiś czas w nim został .

W 1948 roku przewieziono nas do Oulton Park w pobliże Northwick. Tam w polskim obozie przesiedleńczym spotkałam wielu znajomych z Indii. Również Polacy, którzy wrócili z obozów w Afryce przebywali w Oulton Park. W obozie była szkoła i kościół. Tym razem zadomowiliśmy się na okres jednego roku. Na nowo podjęłam naukę w szkole obozowej. Ukończyłam szóstą klasę. Tato podjął pracę w hostelu dla młodych żołnierzy w Northwick.

**- Czy babcia do Was dotarła?**

- Nie, babcia przyплыnęła do Wielkiej Brytanii w listopadzie 1947 roku i pozostawała w innych obozach. Chciała do nas dołączyć, ale mama miała inne plany na przyszłość. Po długiej wojennej rozłące zdecydowała rozpocząć życie rodzinne wyłącznie z mężem i dziećmi. Odwiedzałam babcię w obozie koło Crewe oraz Northwick Park. Babcia drugi raz wyszła za mąż za polskiego żołnierza z obozu w Northwick Park i końca życia mieszkała w polskich obozach. Zmarła w Phenros w 1982r.

**- Jak potoczyły się losy pani rodziny?**

- Przyjechaliśmy do Delamere do obozu cywilnego. Każda rodzina dostała barak do zamieszkania. Tu była możliwość podjęcia pracy, za mieszkanie w barakach płaciliśmy 13 szylingów na tydzień(wówczas 1 funt = 20 szylingów). Na miesiąc zarabiałam 5 funtów. Wtedy wszystko było tanie.



Z rodzicami i bratem w Delamere

**- Jak Pani odbierała Anglię wtedy? Przecież po Rosji, Uzbekistanie czy Indiach to całkiem inny kraj?**

- Kiedy ma się 13 lat, to co można ocenić. Dla mnie nie było różnicy gdzie przebywałam. Na pewno było inaczej niż w poprzednich miejscach. Wokół język angielski, choć my zawsze pozostawiliśmy w środowisku polskim. W języku polskim ukończyłam dwuletnie gimnazjum w Stover Park, mieliśmy w nim lekcje języka angielskiego prowadzone przez panią Coleman, brytyjską nauczycielkę.

**- Czy łatwo było się nauczyć języka angielskiego, bo choć w Anglii, to jednak ciągle w polskim środowisku?**

- Ja miałam łatwiej, w tej kwestii dużo pomogła mi półroczna edukacja w szkole angielskiej. Kiedy podróżowałam z polskimi koleżankami, to zawsze ja pytałam o pociąg, one wtedy jeszcze nie potrafiły

zrozumieć prostych komunikatów. Mieszkaliśmy w polskich ośrodkach, ale z Anglikami też mieliśmy kontakt, choćby podczas wyjazdów do miasta na zakupy.



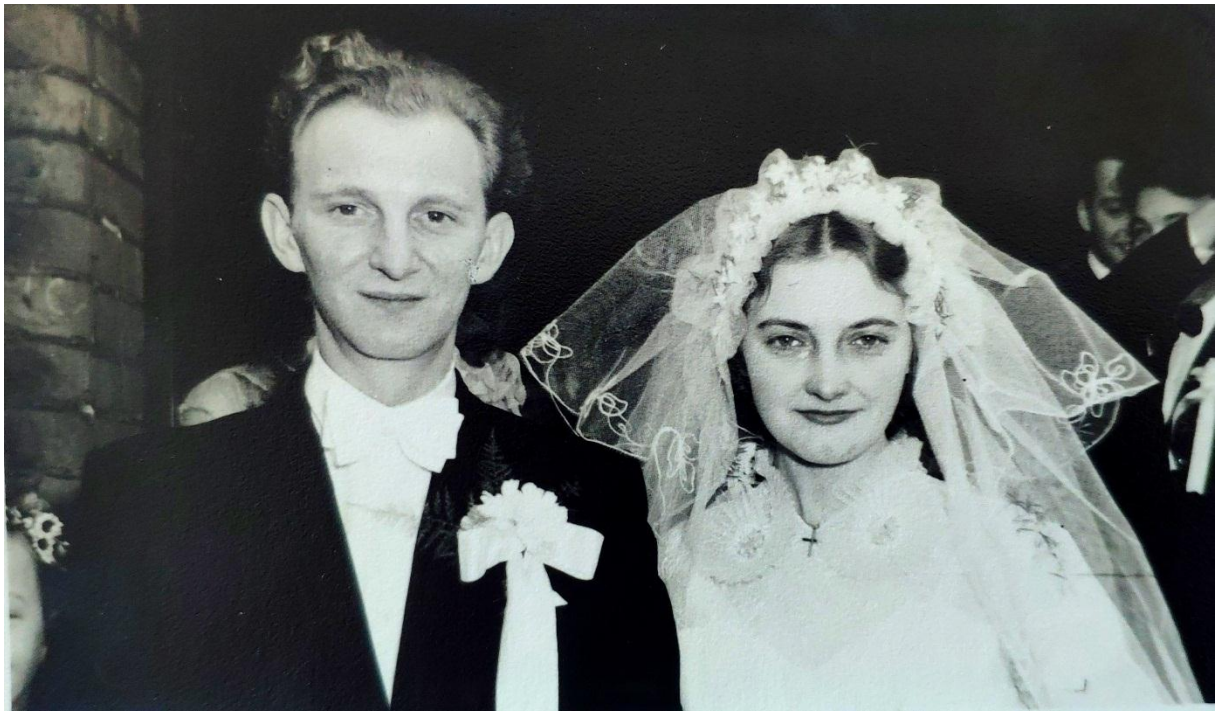
Lucyna Minkiewicz z koleżankami (pierwsza z lewej strony)

**- Co działo się po ukończeniu gimnazjum?**

- Wróciłam znów do obozu w Northwich i podjęłam pracę w szwalni, gdzie pracowałam przez dwa lata. Koleżanka namawiała mnie, żeby przyjechać do Lancaster. W Tym mieście mieszkał jej brat i siostra. Koleżanka początkowo zamieszkiwała też w Lancaster, ale po śmierci mamy wróciła do baraku w obozie, ze względów finansowych. Tu w obozie miała swoją kuchnię, a na wynajmowanym mieszkaniu musiałaby ją z kimś dzielić, co nie jest łatwe... Marysia tęskniła za Lancaster. Dałam się namówić i razem z nią tam pojechałam w 1954 roku. Miałam wówczas 21 lat. Wynajmowałyśmy mieszkanie u jej siostry oraz znalazłyśmy pracę.

**- Tu poznała Pani męża?**

- Tak. W Lancaster poznałam przyszłego męża. Mieszkał tu po przyjeździe wraz z rodzicami z polskiego wojennego obozu z Afryki. Mąż pochodził z miejscowości Równe na Wołyniu. Po półrocznej znajomości odbył się ślub w obozie przesiedleńczym w Northwich w angielskim kościele. Obok była sala i tam zrobiliśmy przyjęcie weselne. Było dużo ludzi, ponieważ w obozie byłam znana, byłam sodaliską.



Dzień ślubu, Nothwick 1956 rok



**- Gdzie zamieszkaliście?**

- Mieszkaliśmy w Lancaster w wynajmowanym mieszkaniu przez półtora roku. Po czym wyjechaliśmy do Manchester. Mąż kupił tam dom, urodzili się moi dwaj synowie, Ryszard i Tadeusz. W Manchester byliśmy sześć lat. Mi nie podobało się, nie czułam się dobrze w Manchester i zawsze chciałam powrócić do Lancaster. Sentyment przeważył i w 1963 roku wróciliśmy. Przyjaciółka Marysia, z którą po raz pierwszy zamieszkałam w Lancaster, wyszła za mąż i również tu mieszkała. Domy miały wtedy inną wartość. Zapłaciliśmy 1700 funtów, za dom, w którym obecnie mieszkam. Przez sąsiadów Anglików byliśmy dobrze przyjęci i tak jest do dziś.

**- Jak wyglądała wtedy społeczność polonijna w Lancaster, czy dużo rodaków tu mieszkało?**

- Nie, nie dużo, trochę. Nie było polskiego kościoła. Na Mszę świętą uczęszczaliśmy do katedry w Lancaster.

**- A czy dzieci chodziły do szkoły polskiej?**

- Tak, w soboty. Dlatego rozmawiają dobrze po polsku. Szkoła była zorganizowana w różnych miejscach. Jednym z nich był budynek przy katedrze, wypożyczony dla polskich dzieci na soboty. Polonijna szkoła działała prężnie, miło wspominać uroczyste rozpoczęcia i zakończenia roku, mikołajki, wszystko było! Jeśli chodzi o emigrantów w tym regionie to po wojnie w społeczności angielskiej zamieszkiwali tylko Polacy, żadnych innych nacji.



Tadeusz (z lewej strony ) i Ryszard Smidt – synowie Lucyny

**- Czy w tym czasie miała Pani łączność z krewnymi w Polsce?**

- Moja najbliższa rodzina mieszkała w Anglii. Natomiast miałam kontakt z rodziną mojego ojca, która po wojnie przeprowadziła się w rejon Kamienia Pomorskiego i Szczecina. W Polsce byłam 4 razy samochodem z mężem, a w sumie 14 razy od czasów wojny.

**- Czy łatwo było podróżować jeśli chodzi o dokumenty?**

- Najłatwiej było jechać na tzw. „travel document” jeśli chodzi o ówczesną Europę. W Polsce po raz pierwszy po wojnie byłam w 1968 roku w styczniu. Mieliśmy brytyjskie paszporty. Pojechalśmy wtedy do Łodzi do siostry męża. Dzieci bardzo lubiły podróżować do Polski.

**- Jakie spotkania odbywały się przy polskim kościele w Lancaster?**

- Działało Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, szkoła polska, klub, robiliśmy zabawy. Teraz jest inaczej, ludzie którzy przyjechali nie dawno temu z Polski mają inne priorytety i nie integrują się społecznie jak my kiedyś.

**- Czy odwiedzał Panią ktoś z Polski?**

- Tak, siostrzeńcy męża z Warszawy, mam z nimi kontakt do dziś.

- Ostatnio w Polsce byłam w 2016 roku, wiele się zmieniło, jest ładniej. Centrum Warszawy jest piękne, Nowy Świat...

**A gdzie są groby rodziców? W Polsce?**

- Rodzice pochowani są w Wielkiej Brytanii w Northwich i babcia również. Co roku jeżdżę dwa razy na ich grób.

**- Czy odbywały się spotkania dzieci powojennych z Indii?**

- Tak. W Londynie. Ja nigdy w nich nie uczestniczyłam. Mój brat, który obecnie mieszka w Kanadzie pięć lat temu przyjechał do Wielkiej Brytanii i wziął udział w spotkaniu „Dzieci Valivade”.

**- A gdzie jest Pani ojczyzna?**

- Tam gdzie się urodziłam, ale tam już nigdy nie wróciliśmy ...



Lucyna Smidt

**- Bardzo interesująca jest historia Pani życia. Dziękuję za rozmowę.**

siostra Halina Pierozak  
Misjonarka Chrystusa Króla  
dla Polonii Zagranicznej  
12. 05. 2020r.

Pani Lucyna Smidt wyraziła zgodę na publikację ww. wywiadu.